Nr. 32 Rok 3 Kraków, dnia 9 sierpnia 1942. 40 gr.

Ilustrowany Kurjer Polski



DOJRZAŁE KŁOSY

Fot. Borek



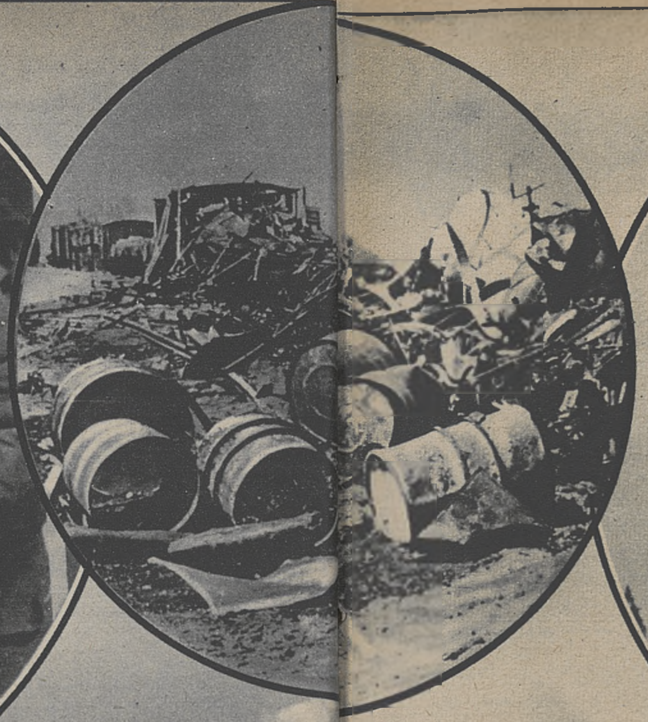
SAMOLOT TYPU „JU 88" I TO WYTRZYMAŁ

Samolot „Emil Nordpol" należący do eskadry „Stuka" otrzymał celny strzał w kadłub. Mimo to powrócił bez trudu do swej bazy. Pilot ogląda szkody.

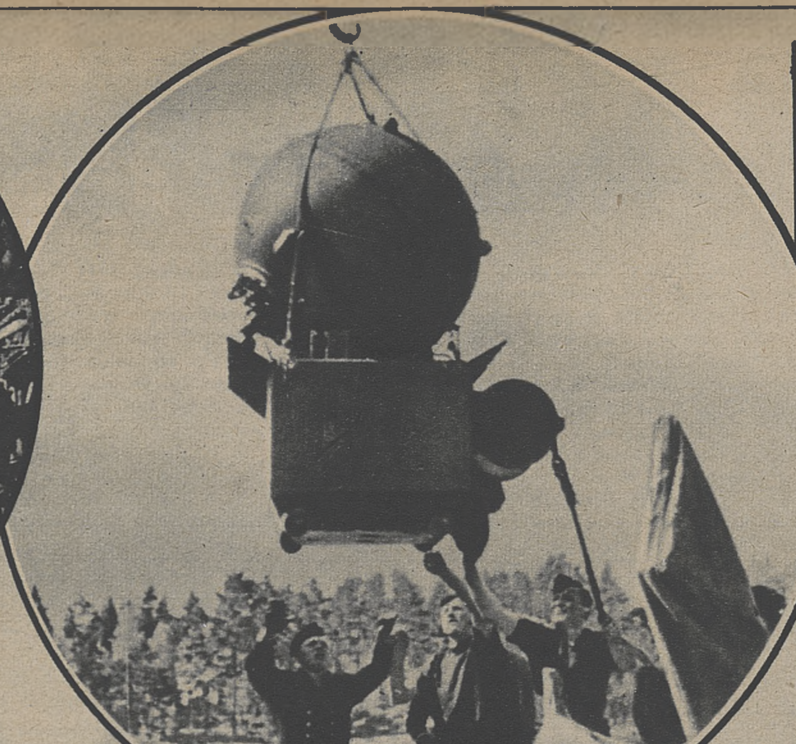


CHRZEST DZIECI W UNII SOWIECKIEJ

Tego rodzaju obrazek można ujrzeć dopiero po zajęciu sowieckich obszarów. Pod niemiecką ochroną odżywa życie religijne w miejscowościach obsadzonych przez Niemcy. Według obrządku grecko-prawosławnego zanurza pop nowochrzczeńca trzykrotnie we wodę.



TAK WYGLĄDA ZAOPATRZENIE ARMIJ TYMOSZENKI. Na przestrzeni 30 km leżą szczątki pociągów towarowych. Tu działała niemiecka broń powietrzna. Działa, czołgi, materiał pędny, najrozmaitszy materiał wojenny i żywność, na które to zaopatrzenie armie Tymoszenki napróżno czekają, zostały kompletnie zniszczone.



NIEBEZPIECZNY CUKIEREK

Niemiecki stawiacz min ładuje przed nocną wyprawą na swój pokład miny. Pod właściwą mającą okrągły kształt miną, widzimy „stołek", z którym mina jest połączoną linami i przez to stale zakotwiczoną do obranego miejsca.



ZDOBYCZ, Z KTÓREJ MOŻNA BYĆ DUMNYM

Przybywszy do portu ojczystego udają się marynarze łodzi podwodnej na kwaterę. Niosą oni sztandar zdobyty na jednym z angielskich okrętów wojennych.



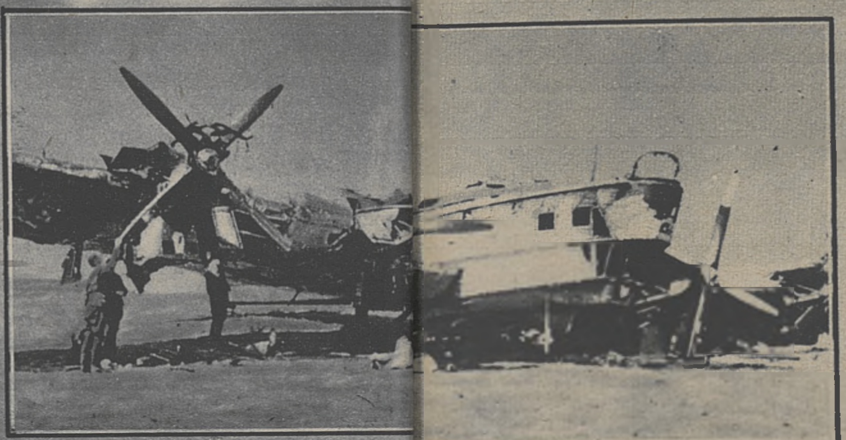


CAVALLERO I KESSELRING

Marszałek imperium i szef naczelnego dowództwa armii włoskiej Cavallero, składa gratulacje generalnemu marszałkowi polnemu Kesselringowi z okazji przyznania mu liścia dębowego z mieczami do rycerskiego orderu Żelaznego Krzyża.

RÓŻNOKOLOROWE TOWARZYSTWO

Po każdej akcji wojennej w obszarze El Alamein gromadzą się poza frontem niemieckim jeńcy. Tu na odmianę widzimy Hindusów, dla których wojna już się skończyła.



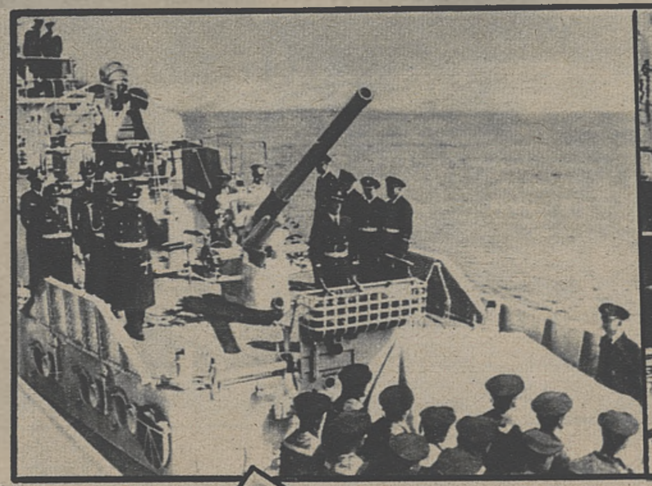
SOWIECKI OLBRZYM

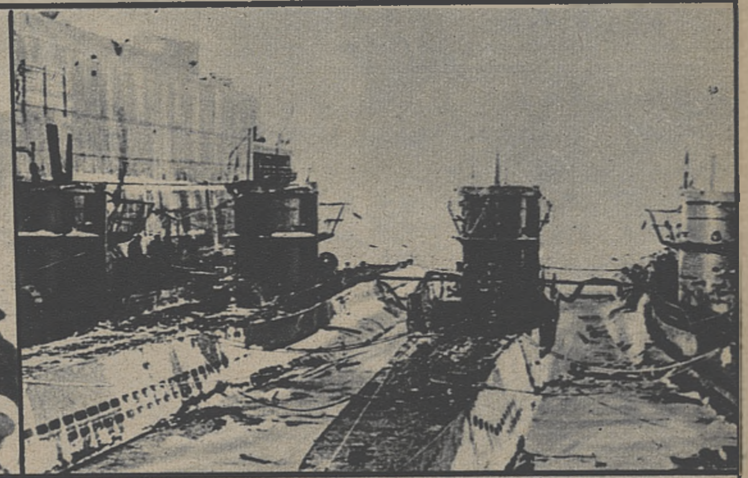
Na zdjęciu widzimy czteromotorowy bombowiec sowiecki zestrzelony przez niemieckich lotników. Bombowca tego używali Sowiety podczas walk zimowych głównie jako samolotu transportowego.

Poniżej:

SOWIECKI OGIEŃ ZAPOROWY

Czołgi niemieckie w ataku. Dzieli je ogień zaporowy nieprzyjacielskiej, ciężkiej artylerii.



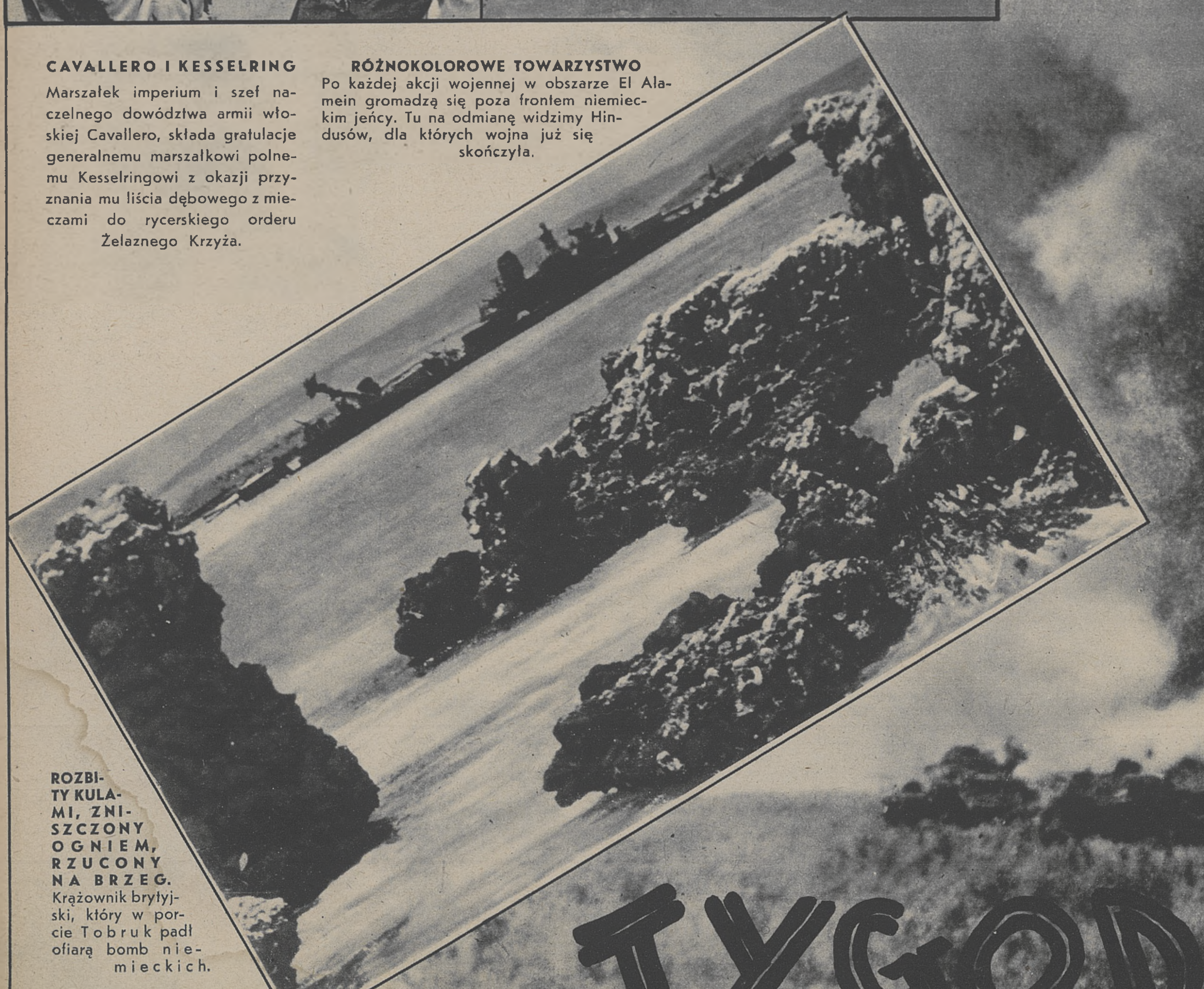


MAŁY ALE DZIELNY

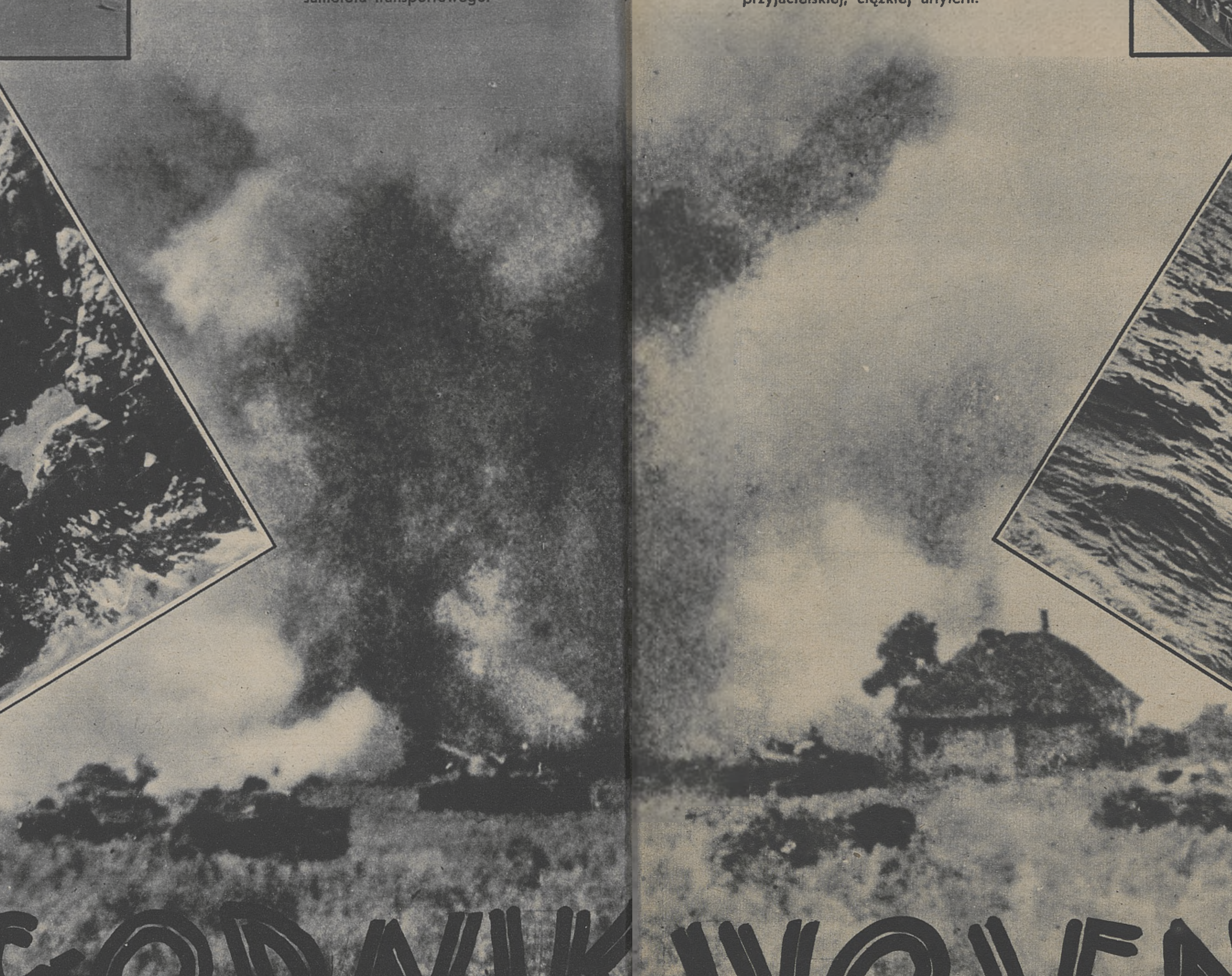
Liczba niemieckich okrętów wojennych powiększyła się znów o jeden nowowybudowany poławiacz min. Dowództwo nad nim obejmuje młody komendant. Na zdjęciu widzimy go w chwili, gdy przemawia do swych podwładnych marynarzy.

„MATKA" I JEJ NIEBEZPIECZNE „KURCZĄTKA"

Gdzieś na Oceanie Lodowatym znajdują się łodzie podwodne u boku okrętu macierzystego, gotowe w każdej chwili wyruszyć przeciw nieprzyjacielskim konwojom.



ROZBITY KULAMI, ZNISZCZONY OGNIEM, RZUCONY NA BRZEG. Krążownik brytyjski, który w porcie Tobruk padł ofiarą bomb niemieckich.



TYGODNIK WOJENNY



N AMERYKĘ Niemiecka łódź podwodna wypływająca z wybrzeża Atlantyku bierze kurs na Zachód. Zdjęcie zrobiono z łodzi strażniczej.

Fot. Atlantic 5
Scherl 4
Weltbild 1
P.B.Z. 3

ZJEDNOCZONY

II. FINLANDIA W WALCE Z BOLSZEWIZMEM

Od końca czerwca 1941 r., znów walczy Finlandia ze swym dawnym wrogiem, Rosją. Jak wiemy w marcu 1940 r., zrezygnowała ona z dalszej walki, by nie narażać na niepewną grę wszystkich sił swego narodu, tym bardziej, że francusko-angielskie obietnice nie były dane z myślą realnej pomocy Finlandii, ale celem tych było uzyskanie wpływu nad szwedzkimi złożami rudy i zdobycie bazy wypadowej do ataku na Niemcy od północy. Finowie byli i wtedy gotowi walczyć do ostatniego tchu, lecz przyszłość wynagrodziła ich za powstrzymanie się wówczas od dalszej wojny z bolszewikami. Dziś stoją synowie Finlandii ramię przy ramieniu z żołnierzami niemieckimi w ciężkiej walce o oswobodzenie Karelii i tę ziemię wówczas straconą — zdołali już odzyskać.

Finowie stając z Niemcami w jednym szeregu na wielkim froncie przeciw Rosji nawiązali tylko do dawnego braterstwa broni, które było bardzo ścisłe już w czasie pierwszej wojny światowej, gdy 2000 strzelców fińskich przeszkolonych wojskowo w Niemczech objęło w swej ojczyźnie wyszkolenie i kierownictwo wojskowe i utworzyło trzon armii białych.

Aby poznać dobrze historię nowoczesnej armii fińskiej, należałoby przestudiować życie generalnego marszałka polnego barona Gustawa Mannerheima. Marszałek Mannerheim ma w swych żyłach krew niemiecką i szwedzką. Przeszło 30 lat służył on w carskiej armii i w chwili załamania się caratu miał już świetną karierę za sobą. Gdy w grudniu 1917 r. proklamowano niezawisłość Finlandii powierzono marszałkowi utworzenie wojska z korpusu milicji. Przy pomocy ludzi, przeszkolonych w Niemczech, udało się marszałkowi stworzyć zdyscyplinowane wojsko, które wraz z oddziałami niemieckimi v. Goltza odsunęło rosyjską wojnę domową od granic Finlandii i oswobodziło stolicę, Helsinki. Marszałek Mannerheim pozostał wiernym sam sobie mimo wszelkich zmian politycznych i gdy w roku 1939/40 musiano z bronią w ręku odpowiedzieć na zakusy potężnej Rosji so-



Na lewo:

WALKA W BAGNACH I PUSZCZY

Żołnierze fińscy są wprawnymi myśliwymi. Nasze zdjęcie przedstawia ich w chwili podkradania się do pozycji sowieckiej, ukrytej w lesie.



Fot. Scherl 6
P.B.Z. 1
P. I. Hoffmann 1
Weltbild 1
Archiw. I.K.P. 1



Powyżej w kole:
POWRÓT DO KRAJU, KTÓRY BYŁ JUŻ STRACONY
Przy studiowaniu mapy pomaga żołnierzom cywilna ludność fińska swymi informacjami. Wieśniacy i wieśniaczki z obszarów uwolnionych od jarzma bolszewickiego udzielają wybitnej pomocy swym ziomkom.

W kole na prawo:

RISTO RYTI, PREZYDENT PAŃSTWA

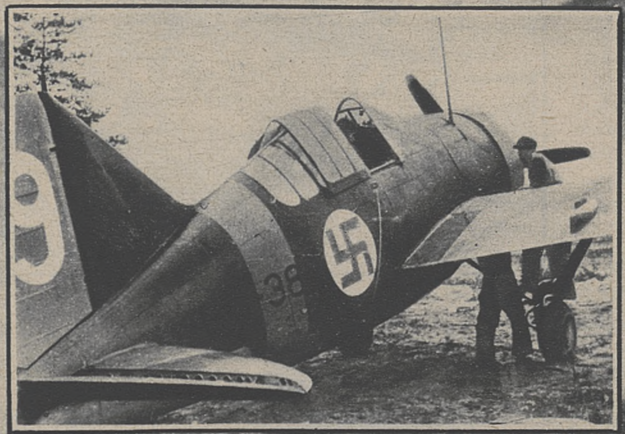
Zdjęcie nasze przedstawia fińskiego prezydenta państwa w czasie przeglądu urządzeń obrony powietrznej kraju.

„LOTTA-SVARD", DZIELNE DZIEWCZĘTA FIŃSKIE

Młoda przedstawicielka fińskiej organizacji kobiet „Lotta-Svard" wita marszałka Mannerheima, uwielbianego wodza armii fińskiej w czasie jego podróży inspekcyjnej wzdłuż fińskiego frontu.

URODZENI STRZELCY

Finowie są prawdziwymi dziećmi lasu i wybitnymi strzelcami. Ich bystre oczy i duże zdolności sportowe sprawiają, że są dobrymi lotnikami, którzy prowadząc samoloty myśliwskie, czy też bombowce celnie atakują nieprzyjaciela, na lądzie i w powietrzu.



RANNI FINOWIE ZWIEDZAJĄ NIEMCY

Żołnierze fińscy zwiedzili najpiękniejsze okolice Niemiec. Na zdjęciu widzimy ich wraz z Niemcami w starej twierdzy Ehrenbreitstein w miejscu zlewania się rzek Renu i Mozeli.







Powyżej: **NURMI ĆWICZY MŁODZIEŻ**

Fiński mistrz w biegach znajduje się jak i wielu innych sławnych sportowców w wojsku. Nurmi pełni służbę instruktora w obozie młodych — fińskiego korpusu ochronnego.



NA PAPIEROSA

Oficerowie fińskiej broni pancernej w czasie przerwy w walce podczas ostatniej ofensywy we wschodniej Karelii.



wieckiej, cały naród fiński w nim tylko widział odpowiedniego wodza. W całym świecie mówiono wówczas o linii Mannerheima i powszechnie sądzono, że rozchodzi się tu o fortyfikacje w rodzaju linii Maginota. Że była to pomyłka, można to dzisiaj stwierdzić, gdy stosunki zmieniły się i naród fiński nie stoi już osamotniony, gdyż otrzymuje pomoc moralną i materialną. Lecz z drugiej strony, właśnie linia Mannerheima stała się wyrazem fińskiego systemu walki i dowodem wysokich militarnych przymiotów Finów. Rzeczowo sprawę biorąc chodzi tu tylko o pewną ilość bunkrów, przeszkód z drutów kolczastych i „łapek" na czołgi. Ale poza tymi prostymi zewnętrznymi ubezpieczeniami stało gorące i dzielne serce żołnierza fińskiego. Z podziwem przyglądał się żołnierz niemiecki jak zręcznie porusza się jego fiński kolega, zwłaszcza gdy chodzi o walkę w tyralierce w puszczach i bagnistych terenach Karelii. Finlandczyk jest upartym, wytrwałym wojownikiem, o niezmordowanej sile fizycznej i zadziwiającej zdolności znoszenia głodu i pragnienia. Siły serca, ciała i ducha odziedziczył ten naród myśliwych i rolników po swych przodkach wraz ze swą starą historią. Siły duchowe czerpał on ze swej odwiecznej wolności, ze swych nieskazitelnie przechowywanych tradycyj i swego ożywionego życia kulturalnego.

Tak więc żołnierze niemieccy poznali swego fińskiego towarzysza broni i zrozumieli, że ta „linia Mannerheima" z roku 1939 zmartwychstała dziś jeszcze silniejsza, — bardziej odporna, i jest żywym, ruchliwym a zarazem pełnym woli zwycięstwa murem, złożonym z mężów, którzy jako żywa tarcza między Zachodem a Wschodem czuwają nad losem Północy.

Poniżej:

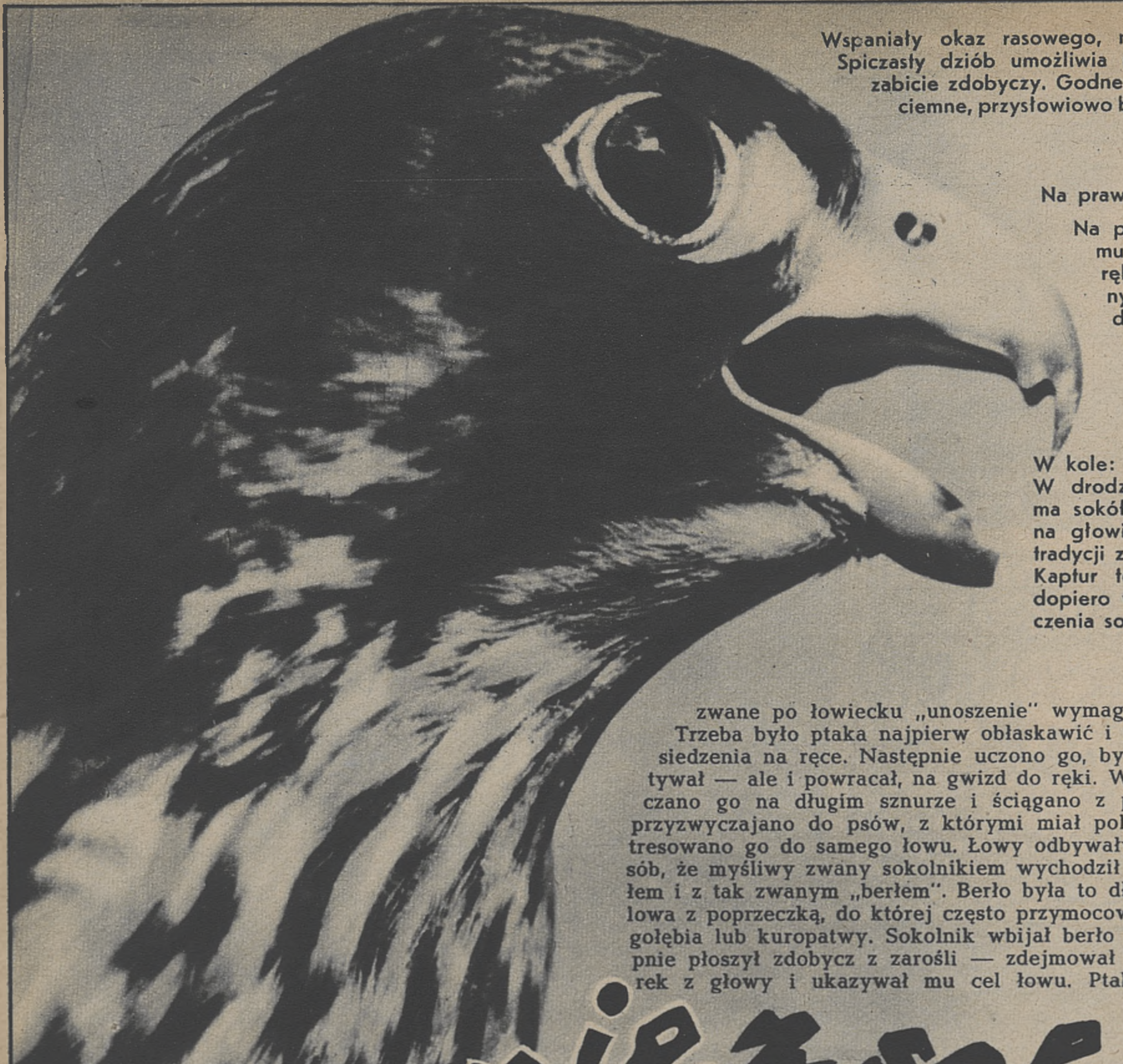
PRZEPRAWA POD OSŁONĄ SZTUCZNEJ MGŁY

Przejście fińskiego oddziału szturmowego przez jedno z licznych jezior Karelii.



FRONT EUROPY

Polowanie z sokołem – znowu modne



Wspaniały okaz rasowego, młodego sokoła. Spiczasty dziób umożliwia mu błyskawiczne zabicie zdobyczy. Godne uwagi jest duże, ciemne, przysłowiowo bystre oko sokole.



Na prawo:
Na pięści sokolnika musi się znajdować rękawica dla ochrony przed pazurami drapieżnego ptaka.



W kole:
W drodze na polowanie ma sokół skórzany kaptur na głowie. Stosownie do tradycji zdobi go pęk piór. Kaptur ten zdejmuje się dopiero w chwili wypuszczenia sokoła na zdobycz.

Fot. Weltrundschau 7



Na lewo:
Sokół wrócił na rękę swego pana. Sokolnik z powrotem zakłada ptakowi kaptur na głowę pomagając sobie przy tym zębami.



Obok:
Obraz z czasów rozkwitu dworskiego życia po wojnie 30-letniej, kiedy polowanie z sokołem było bardzo rozpowszechnionym sportem.

Polowanie ze sokołem stanowiło wytworną rozrywkę książąt i wielmożów w wiekach średnich. W Europie dość wcześnie poszedł ten rodzaj polowania w zapomnienie, po chwilowym nawrocie tej mody w epoce dworskiego baroku. Jedynie w Anglii dotrwał on do dzisiejszego dnia. Także w środkowej Azji, Persji i u Beduinów zamieszkujących Saharę jeszcze dziś polują ze sokołem. W ostatnich czasach próbowano też w Niemczech wskrzesić zwyczaj polowania ze sokołem i w ten sposób wznowić zabawę rycerską z dawnych lat.

Do polowania ze sokołem tresowano nie tylko sokoły, lecz również krogulce, jastrzębie i orły. Krogulce znajdowały głównie zastosowanie przy „polowaniu wysokim" (na ptactwo w locie), podczas gdy jastrzębi i sokołów używano do polowania na bażanty, kuropatwy i zające. Ułożenie sokoła do polowania, czyli tak zwane po łowiecku „unoszenie" wymagało wiele trudu. Trzeba było ptaka najpierw obłaskawić i przyzwyczaić do siedzenia na ręce. Następnie uczono go, by nie tylko odlatywał — ale i powracał, na gwizd do ręki. W tym celu puszczano go na długim sznurze i ściągano z powrotem. Dalej przyzwyczajano do psów, z którymi miał polować. W końcu tresowano go do samego łowu. Łowy odbywały się w ten sposób, że myśliwy zwany sokolnikiem wychodził na pole z sokołem i z tak zwanym „berłem". Berło była to długa laska metalowa z poprzeczką, do której często przymocowywano skrzydła gołębia lub kuropatwy. Sokolnik wbijał berło w ziemię, następnie płoszył zdobycz z zarośli — zdejmował sokołowi kapturek z głowy i ukazywał mu cel łowu. Ptak rzucał się na zdobycz, brał ją w locie, spadał z nią na ziemię i dobijał. Na gwizd wracał na berło i w nagrodę otrzymywał jakiś przysmak. Ułożenie sokoła do polowania wymagało daleko więcej trudu niż ułożenie psa. Dziś powraca znów ten zapomniany sport polowania z sokołem i znów nasze współczesne pokolenie animuje się nim i owiewa go ten sam urok, który w wiekach średnich czarował rycerską fantazję naszych pradziadów.



Poniżej:
Tresura sokoła do polowania. Sokolnik uczy ptaka, by na gwizd powracał do ręki. U stóp: Sokół ze swą zdobyczą.



Wymarsz na polowanie ze sokołem. Obraz Zweckera z r. 1853.

ROCZNICA PRZYŁĄCZENIA GALICJI

UROCZYSTY AKT PAŃSTWOWY WE LWOWIE

Przed rokiem, w dniu 1 sierpnia 1941, Galicja została przyłączona do Generalnego Gubernatorstwa jako piąty okręg. Od tego dnia rozpoczęło się usuwanie śladów dwuletniego prawie panowania bolszewickiego na tym obszarze, którego ludność musiała przechodzić nieskończone udręki, jak długo wegetowała pod przymusem i terrorem Sowietów.

W pierwszą rocznicę tego historycznego wydarzenia, odbył się we Lwowie stosunki i stopa życiowa mieszkańców została znowu podniesiona.

Szczególnie ważnym jest, że Generalny Gubernator wydał nowe zarządzenia, które dają gwarancję, że zasada porządku stanie się ogólną i sytuacja ulegnie w dalszym ciągu wydatnej poprawie.

Wskazówki Generalnego Gubernatora zostaną zrealizowane w ciągu najbliższych tygodni i miesięcy, a ponieważ wśród ludności wszędzie istnieje chęć do uzdrowienia, przeto starania władz spotkają się z wielkim zrozumieniem we wszystkich kołach ludu

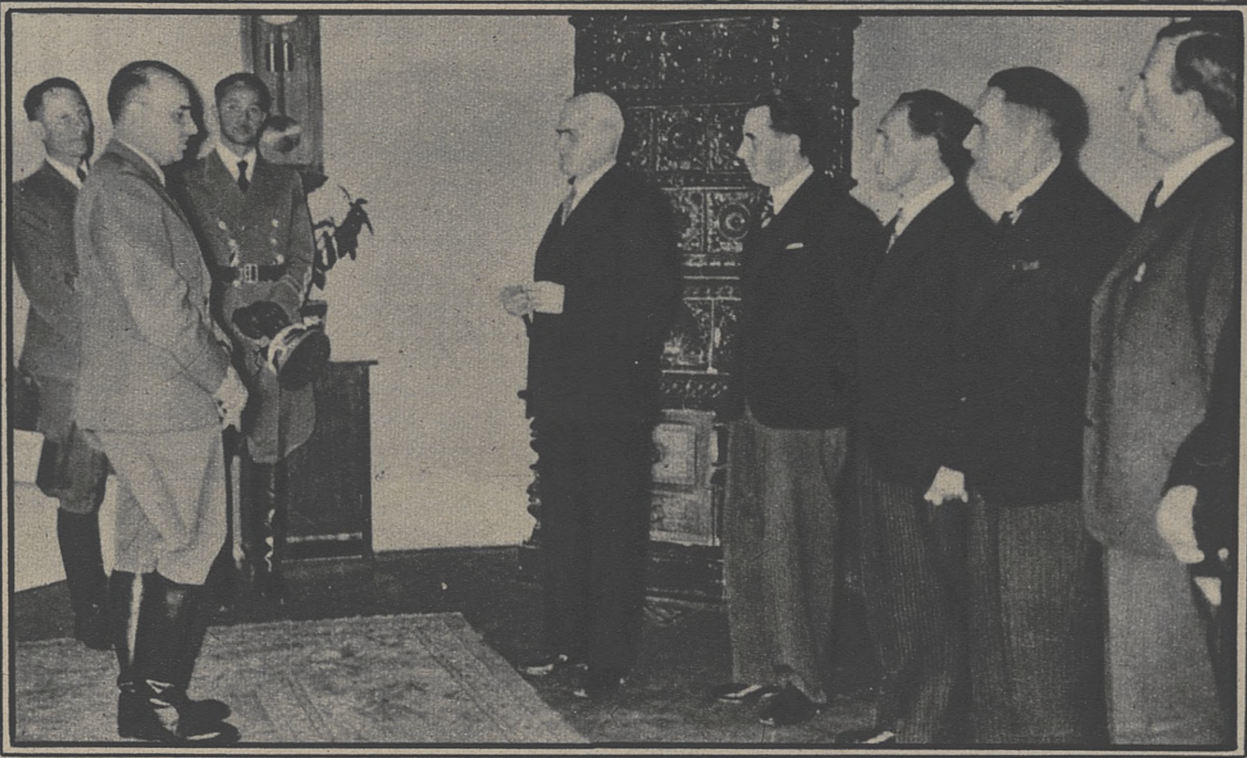


Akt państwowy we Lwowie w rocznicę wcielenia Galicji do Generalnego Gubernatorstwa. Generalny Gubernator, minister Rzeszy Dr. Frank oznajmia przedstawicielom państwa, armii i partii, że usunięto całkowicie w Galicji sowiecki system gospodarczy.



Fot. Rösner 5

Z okazji pierwszej rocznicy przyłączenia okręgu Galicji do Generalnego Gubernatorstwa odbyły się we Lwowie na cmentarzu Zasłużonych uroczystości ku czci poległych Bohaterów. Oprócz korpusu oficerskiego wziął również udział w tej uroczystości Generalny Gubernator, który złożył wieniec na grobach żołnierzy niemieckich poległych za sprawę oswobodzenia Galicji spod panowania Sowietów.



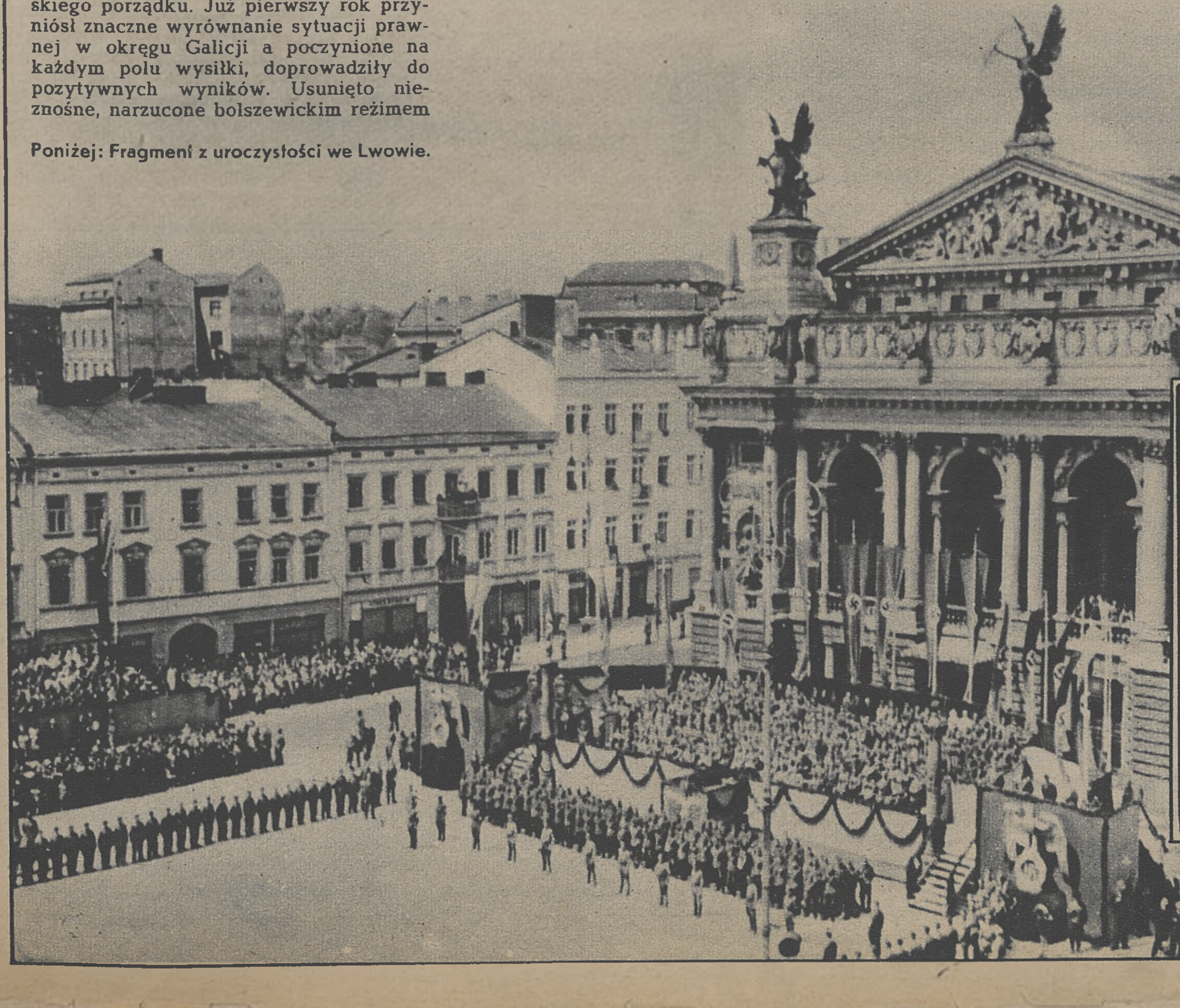
Obok: W gmachu sejmowym we Lwowie, Generalny Gubernator udzielił audiencji delegacji polskiej w obecności Gubernatora Galicji i przyjął od niej złożoną mu deklarację.

uroczysty akt państwowy, na którym Generalny Gubernator Dr. Frank wygłosił przemówienie. W przemówieniu swym poruszył wszystkie problemy dotyczące galicyjskiego obszaru oraz podał wskazówki do dalszej rozbudowy i dostosowania okręgu do sytuacji prawnej Generalnego Gubernatorstwa.

Galicja została wyrwana azjatyckiemu Molochowi i może znowu rozwijać się według swych własnych, naturalnych warunków, w ramach ogólno-europejskiego porządku. Już pierwszy rok przyniósł znaczne wyrównanie sytuacji prawnej w okręgu Galicji a poczynione na każdym polu wysiłki, doprowadziły do pozytywnych wyników. Usunięto nieznośne, narzucone bolszewickim reżimem galicyjskiego, który już w roku ubiegłym wykazywał lojalną współpracę.

Tę chęć do współpracy w sensie nowych europejskich zasad porządku, wyraziła w jednoznacznej formie także i delegacja polska, przyjęta przez Generalnego Gubernatora Dr. Franka, w związku z aktem państwowym. Rzecznicy polskiej ludności wspomnieli w przeglądzie wydarzeń o straszliwych czasach panowania bolszewickiego i oświadczyli, że leży w ich interesie, jak również w interesie okręgu Galicji, aby wszystkie koła ludności przez solidarną współpracę, przez pełne użycie chętnych do odbudowy sił i przez respektowanie zarządzeń władz, zabezpieczyły całkowitą odbudowę kraju.

Poniżej: Fragment z uroczystości we Lwowie.





Generalny Gubernator, minister Rzeszy Dr. Frank z Gubernatorem Galicji Dr. Wächterem, tarnopolskim starostą powiatowym Dr. v. Harbou i członkami administracji.

PIERWSZA KOKIETERIA

OBRAZEK LUDOWY — NAPISAŁA H. ZAKRZEWSKA

A juści! Dobrze komu gadać „siostrzyczka, siostrzyczka", ale temu Jędrzychowi dała się una dobrze we znaki, oj dała.

Już to od pierwszej chwili jak się z tą Marcychą zapoznał, to nieprzyjemność dla niego wyszła.

Obudził się rano, a tu babka wsiowa, Paulina, podchodzi do niego, bierze go za rękę i podprowadza go do kołyski.

— Patrzaj no Jędrzych — powiada — jaką ci to siostrzyczkę bez noc nalazłam...

Spojrzał, bo co miał robić?

Widzi, a tu cosić sine leży, ani jednego kłaka na głowie, skrzekocze jak żaba, krzywe nogasy do gardła sobie pcha, a pod to-tym... nie daj Boże!

Skrzywił się.

— Pokraka — mówi, a babka wsiowa hop go w kark i tyla było z siostrzyczki.

— Pewno sobie umrze — pomyślał Jędrzych na pocieszenie, bo coś niecoś pamiętał, czy też mu ludzie powiadali, że dwie takie podobniusieńkie nie przeleżały w kołysce nawet przez trzy niedziele.

Ale cóż? Ta oto Marcycha ani rusz nie chciała umierać, no to musiał się do niej przyzwyczaić pomaleńku.

Dopóki zima była i mrozy ściskały, i wiatry ciągnęły, i śniegi waliły, no to jeszcze, jeszcze... W zimie można było wytrzymać jako tako z tą Marcychą.

Postukotało się biegunami kołyski — hołup, hołup, hołup — nie dłużej jak ze dwa pacierze, to i spała. Obudziła się i nie chciała spać, to się jeju jakiego figlasa z palców zrobiło bliziuchno kiele nosa i dobrze było. Darła się, to się tę rozdziawioną bezzębną paszczękę zatkało ośródką razowego chleba, albo jaką szmatą, albo chociażby tą garścią i znowu do ładu się doszło.

Ale z wiesną... z wiesną...

Z wiesną nie daj Boże co się wyrabia. Głowa puchła...

Bęcwał się z niej zrobił spaśny jak ta świnia, a na zabawę chytry, a na hujdanie, a na pocmokiwanie, a na grzechotkę z grochu...

Nie chciało się, to matka napędza.

— Jędrzych — powiada — a pobaw no się z Marcychą!

A bo to jego kto bawił? Sam się bawił. Ociągał się, marudził, chwytał kota, albo lazł za kurami pod łóżko, to matka pod boki się bierze i plotkuje na niego przed narodem wsiowym.

— Sześć roków mu się skończyło na św. Andrzeja, a głupi chłopak jak to bydlę...

Hale! Głupi! Dobrze on wiedział co robi.

Teraz z wiesną, to chociaż ta Marcycha niedojda była do niczego i ani jednego kroka stąpnąć nie potrafiła, a ciągiem się na dwór wyrywała.

Drze się i drze się, nogi zadziera, tę ołowianą głowę z poduszki dźwiga, siada w kołysce i te grubachne łapska wyciąga.

— Hajta, hajta — powiada matka — dziewucha chce hajta, no to bierz jeju Jędrzych na ręce i pobaw na słonku...

Akurat. Już to rozum u matki nie wiadomo gdzie. Jędrzych to już chyba nie miał innej roboty na wiosnę, jak bawić się i cackać z taką wydziwiaczką.

Ale cóż? Pryśnie z chałupy, a tu matka na próg sionek wypada i krzyka:

— Jędrzych! Jędrzych! A wróćżeż no się, obwiesiu, i bierz Marcychę. A nie usłuchasz, to popamiętasz...

No i trzeba było się wracać i brać na ręce onego bęcwała, co to już chyba ze sto kilo ważył i potrząchać, i pocmokiwać, i obnosić po całej wsi.

Chustką matka okręci i ściśnie tak, że człowiek, jak ten powiany, o jednej ręce ostaje, cała biedra krzywa od tych to stu kilo, róg chustki trynda od tyłu jaże poza kolana i plącze się pomiędzy nogami, że ani bez płot się przedostać, ani przez bajorę przekicnąć, ani kopnąć co niektórą młodszą dziewuchę, ani nic...

A sprzyka była ta Marcycha, jak mało która.

Zaruchno na wczesną zwiesnę, wtedy kiej wody ogromachne zewsząd waliły, a zaledwie jaki taki listek z pąka się kłuł, to kowalowy Stacho dopomógł Jędrzychowi odmotać się z tej chuściny, posadzili Marcychę na pagórku, podle rowa, dali jeju patyk do garści, co by sobie nim trawę dookoła siebie objajała, a sami odbiegli o parę stajaniów pod wierzby.

Wepchali się na drzewo nowiusieńkie gniazdo obejrzeć, a ta Marcycha miasto siedzieć spokojnie, to się jakościć bokiem chynęła i nuże do rowa się toczyć.

Ale gdzie on tam miał głowę ten Jędrzych oglądać się na siostrzyczkę, kiej gniazdo jeno, palicami chwytać.

Chlupnęło.

Dobrze co się Stacho z wierzby wychylił i powiada:

— Dziewucha się kajścić zapodziała...

No to opuścili się na wielki gwałt po gałęziach, skicnęli i dalejże szukać.

Dopiero po chustce, co ją za sobą do rowa ściągnęła, pomiarkowali gdzie una.

W rowie wody do pasa, zimna jak ten lód, ale wleźli i natrafili.

Sina była jak te kolana Jędrzychowe i bez ręce całkiem leciała, no to się chłopczyna wystrachał, potrząchał jak umiał i kopnął się do chałupy.

Leci, leci, a dusza u niego na ramieniu siedzi, to jedno go coś niecoś pocieszało, że i ta Marcycha za swoje oberwie.

Wpada do chałupy cały w potach, a matka jak nie spojrzy na te mokre gałgany i jak nie wrzaśnie:

— Dziecko me utopił...

Oj dostał on wtedy, dostał. Matka biła i biła, i jeszcze dokładała, a tej Marcychy to nawet jednym palicem nie tknęła.

Już się Jędrzych zabijać chciał, tak mu dopiekła ta niesprawiedliwość, ale za to potem, to swoją nagrodę miał.

Marcycha leżała w kołysce jak ta kukła drewniana. Ni zabawiania, ni potrząchania, ni obnoszenia. Mógł się teraz Jędrzych wylatać gdzie jeno go oczy poniosły, chociażby na drugą wieś...

Ozdrowiała na trzeci tydzień, bo taka już była zawzięta z przyrodzenia, i znowu trzeba było zabawiać, i łechotać, i pocmokiwać, i obnosić, a nawet dziesięć razy gorzej.

Tera matka ciągiem napominała:

— Jędrzych — mówiła — a trzymaj no się niedaleczko chałupy, bo me znowu gdzie dziecko utopisz. A nie posłuchasz, to popamiętasz...

Polecia! pod wiatrak, śmiga go przewróciła, guz się nabił dziewusze na czole i dostał lanie. Przysiadł za dworską pasieką, pszczoły jeju pogryzły i znowu lanie. Zajrzał do księżowego sadu, pies się chustki czepił i jeszcze lanie, no to się bojał i czasami trzymał się blisko, ale życie mierziło się ze szczętem.

Bo jakże? Hań na łąkach już i boćki brodziły, że jeno jejim sól na ogony sypać i chwytać. W gniazdach jajeczka już się trafiały. Pod zagajnikiem tarnina okwitła jakby ją kto śniegiem przyprószył, a słonko to się tak w rzece mieniło i takie promieniska roztaczało dookoła jak kiele monstrancji na procesji.

Ale najgorsze ze wszystkiego było, że z dziewuchami wsiowymi, co to też swoje Karolcie, a Magdy, a Jaśków dźwigały, musiał kompanię trzymać.

Widzi, a tu chłopaki bez wieś pędzą, i walą bosymi piętami o drogę, i tyla kurzu narobią jakby kto stado owiec przegnał, i popychają się, i pogwizdują, i pokrzykują, i lecą kajścić w cały świat, a ty Jędrzychu nieboraku siedź i siedź pomiędzy dziewuchami z tą oto siostrzyczką na ręku.

I zdarzyło się raz, że kiedy tak siedział podle płota, kiele drogi i z tych żałościów podśpiewywał za starszymi dziewuchami taką jedną pieśń:

„Kochał się we mnie warsiawski świniorz

Kiedy nie kiedy un do mnie przylozł...

Patrzy, a tu z pagórka opodal wiatraka jakieścić cudaczne wozy się toczą.

Toczą się i toczą, jeden wóz za drugim, i jeszcze jeden, i jeszcze, i jeszcze. Ze dziesięć tego było, albo może aż siedem, albo gdzie, gdzie więcej. Kto by je tam zliczył...

Płótno na obręczach rozpięte pofurkuje z wiatrem, i czerwieni się cosić, i zieleni, i jakieścić furmany w kapeluszach batami wywijają, i pies leci, i na sworzniach od tyłu blaszane wiadra kałauczą, i skrzypki dolatują...

— Harmaty — pomyślał se Jędrzych i jaże gębę rozdziawił.

Już, już miał się zrywać z pod płota i bieżyć naprzeciw, a tu te inne dziewuchy jak nie zaczną klaskać w ręce, i kicać na jednej nodze i kręcić się w kółko, jak te kołowate...

— Cygany! Cygany! — wrzeszczą i puszczają się pędem w stronę cyganów.

Ale Jędrzych się ostał. Jędrzych struchlał. Ciarki, jak mrowie, rozłażą mu się po plecach. Jędrzych bojał się cyganów. Trudno, ale się bojał.

Jeszcze nigdy żadnego na oko nie widział, ale mało się to o nich nasłuchał od maleńkości? Zapóźnił się gdzie po zachodzie, to matka w opłotkach stoja i krzyka: — Włócz się po nocach, włócz, a obaczysz co cię cygany ukradną! Wychlapał żuru z miski na ławę, to matka zaraz: — Cyganom cię sprzedam! Mierziło mu się w kościele i matkę za kieckę szarpał, to matka zara: — Cyganem ci być! Mazgaił się pod wieczór, to matka drzwi do ciemnej komory ozwiera i woła: — Cygan! Cygan! A chodź no tutaj i bierz Jędrzycha do torby!

— No to jakżeż się nie miał bojać? Bojał się.

A bo to on jeden miał stracha przed cyganami? Wszystkie dzieciaki we wsi drżały na samą wzmiankę o cyganach.

Jędrzych struchlał i dalejże bez płot się gramolić z tą Marcychą, a wszystkie młodsze bachory za nim.

Za płotem było coś nie coś przezpieczniej, więc przystanął i przez wyplatańce w chruście spozierał na nadjeżdżających.

A tu wozy toczą się i toczą, i coraz to bliżej, i coraz to bliżej.

— Uciekać, nie uciekać — pomyślał se Jędrzych, ale jak wozy zatrzymały się na skraju wsi, to nabrał trochę więcej odwagi. Wybałuszył ślepia, rozdziawił gębę i patrzał, i patrzał, i patrzał...

A było na co popatrzeć. Cygany kunie wyprzęgają i siana jejim podtykają. Cyganichy, w długachnych kieckach z falbaną, znoszą z wozów garnki, miski, koszyki i zabierają się ogień rozpalać. Kupa bachorów, brudnych jak nieboskie stworzenie i czarnych jak diabły, złazi z wozów po kołach. Słychać nawoływania, piski, śmiechy, krzyki i ruch się robi jak na odpuście we Wronkach.

Trzy cyganichy, w zielonych kaftanach i w czerwonych chustkach, pod boki się wzięły i nuże do wsi się pchać.

Chyba po dziecka idą. Po kogóż by?

No i wszystkie bachory, jak to obaczą, to z krzykiem, a płaczem kopnęły się do chałupów, jeno ten Jędrzych się ostał. Tak się zapatrzył w te cygany, że nawet o strachu zapomniał. Stojał i stojał pod płotem jak ten urzeczony.

Dopiero jak go matka zaszła od tyłu to otrzeźwiał coś nie coś.

— Szukam cię, urwisie, po całej wsi. Wołam i wołam, a dowołać się ciebie nie mogę. Połednie juże dochodzi. Obiad stygnie. Marcycha głodna. Dam ja ci cygany...

I w pysk dostał dwa razy na odlewkę.

A jak tylko matka odebrała mu tę Marcychę, to z płaczem, a jękiem poleciał polami...

Przysiadł dopiero w pokrzywach za stodołą Kusiakowej. Pięścią wali się po kolanach, klnie, jak tatulo w złości, i zawzina się na tę Marcychę, co jaże strach słuchać.

— Baba sekutnica! Jędza z piekła rodem! Sprzedam jeju cyganom! Sprzedam jeju cyganom! — powtarza mało sto razy.

A po obiedzie, jak tylko matka nadała mu z powrotem tę Marcychę na ręce, to ani się obejrzał jeno kopnął się w stronę cygańskiego obozowiska.

Kłapie zębami, pobladł jak to truchło, ale leci.

Właśnie cygany ładowały się do odjazdu. Już i kunie wprzęgały, i garnki znosiły, i miski płukały, i ogień butami przytupywały.

Zupełnie jak te diabły na chorągwi kościelnej...

No, Jędrzych mógł dużo wytrzymać, ale tego to już nie mógł. Nawrócił na pięcie i biegł do wsi ile tylko sił starczyło.

Przystanął pod trzecią chałupą, a tu co widzi? Te trzy cyganichy, co to się na wieś wybrały, jeszcze po wsi plądrują.

Rozsiadły się na murawie, pod chlewikiem Jakuba Pęczaka, a wszystkie wsiowe dziewczyny obstąpiły je kołem i każą sobie z kart wróżyć, i z dłoni, i z papierków, co je cyganka w pudełku trzymała.

A śmiechu tamoj było co niemiara. Dziewuchy chichotały tak jakby je kawaliry po żebrach obmacywały.

Oj, przyjrzał się wtedy Jędrzych tym cygankom, oj, przyjrzał. Schował się do chlewika i przez szpary w deskach spozierał. A nie wydały mu się takie znów bardzo straszne. Mówiły jak ludzie, śmiały się jak ludzie i torbów na dziecka nie miały.

Po chwili jedna z nich powstała z murawy i zabrała się wracać do wozów, no to się Jędrych odważył, dognał ją pod topolą i powiada:

— Kupta ode mnie tę o to dziewuchę!

A cyganicha pod boki się wzięła, białkami u ślepiów zatoczyła paskudnie, straszne zębska na niego wyszczerzyła i odpowiada:

— Dobrze! A ile za nią chcesz?

No, tego to Jędrzych nie wiedział. Calkiem zapomniał o tym pomyśleć, więc spuścił głowę nisko na piersi i stojał zawstydany, jak ten głupi.

Już, już cyganicha zabierała się odchodzić kiej nagle sobie przypomniał:

— Dwadzieścia groszów — powiada.

A cyganicha pod boki się wzięła, białkami u ślepiów zatoczyła paskudnie, straszne zębska na niego wyszczerzyła i mówi:

— To chyba z tobą razem...

No tego to Jędrzych nie chciał. Zląkł się i w nogi.

Przystanął po chwili i tak sobie obmyśla:

— To może ją nie sprzedam, a podaruję... Niechaj ją sobie biorą w prezencie...

Pomyślane — zrobione. Nawrócił za cyganichą i powiada:

— Darmo jeju dam!

A cyganicha pod boki się wzięła, białkami u ślepiów zatoczyła paskudnie, straszne zębska na niego wyszczerzyła i mówi:

— My dziewuch nie bierzem, jeno chłopaków. Chodź no ty...

I za rękę go chwyta i ciąga ku sobie. Wrzasnął jednym wielkim głosem, wyrwał się jakoś i umykał jaże się kurzyło.

Przysiadł z tą Marcychą na kartoflisku i martwi się, że aż.

— Kupić jeju nie chcą, darmo brać nie chcą, no to jakże będzie?

Myśli i myśli, myśli i myśli, ręką trze się po czole, jaże w końcu wymyślił.

— Niechaj ją sobie ukradną...

Pomyślane — zrobione. Zerwał się z redliny, pobiegł polami w stronę obozowiska, odmotał jakoś tę chustkę, posadził Marcychę na widoku, wprost cygańskiego taboru, a sam odbiegł o kilkadziesiąt kroków i schował się za krzak berberysu.

— Co będzie, to będzie...

A Marcycha, tak jak to Marcycha, ot kawał bezmyślnego sadła, siedziała chwilę z rozdziawioną gębą, jak ta gapa, i palice od ręców wplatała w palice od nogów, aż tu raptem jak nie pomiarkuje, że sama siedzi tak w bek.

Drze się i drze się, drze się i drze się, ale Jędrzych nie głupi był do niej wychodzić. Schował się jeszcze lepiej i przez gałęzie spozierał w stronę cyganów.

— Co będzie, to będzie...

A Marcycha drze się i drze się, a cygany oglądają się raz wraz na tę krzykaczkę, ale żaden jeszcze nie podchodzi kraść.

— Pewnikiem czekają aż ruszą — pomyślał sobie Jędrzych, a potem to tak się zapatrzył w ten tabor, że wcale nie pomiarkował jak z poza krzaka wylazł.

Ledwie że ledwie wylazł a tu Marcycha urywa nagle z darciem. Zdziwił się Jędrzych tej ciszy i spojrzał na nią.

Widzi, a ta dziewucha wykręciła się cała ku niemu, obie łapska do niego wyciąga i śmieje się całą gębą od ucha do ucha.

Jak Jędrzych obaczył tę jej uciechę do siebie to serce w nim stajało. Cała zawziętość gdzieś się zapodziała.

— Hale! Całujta psa w nos — wrzasnął, wygrażając pięścią w stronę cyganów.

Podbiegł jak ten błędny do dziewuchy, schwycił jeju na ręce i niepomny, że chustka wlecze się za nim i podskakuje po zagonach, tak jak to rozczapierzone wrońsko, jak ze skarbem jakim, co go to już nikomu nie da, zmykał na przełaj do chałupy.

B. KRÓL

Żeńcy

Idziemy w przedświt okrzepli i mocni,
w bruzdach półcienie błąkają się szare,
dostałe kłosy ciężkie najowocniej
gną się pod sytną dojrzałością ziaren.

Chyli się szumne, sypkie złotokłosie,
szeptem poufnym do rąk nam się garnie,
szeleszcząc cicho o porannej rosie
swą baśń odwieczną o najpierwszym ziarnie.

Na kos brzeszczotach zatliło się słońce,
ciepło nam w dłonie, radośnie w ramiona,
szeroko w piersiach i w oczach gorąco,
śpiewnie na ustach i w sercu jak w dzwonach.

Ostrza brzękliwym zadzwoniły hasłem,
strzeliły błyskiem złotawobłękitnym,
i na perlistą, wszechobecną jasność
legł równo ścięty pierwszy naręcz żytni.

W szeroki rozrzut zachwyconych ramion
zbieramy w stokroć trud błogosławiony.
— Kłosy i kłosy na bezmiernym łanie,
i pełnoziarne tętnice zagonów.

Poczęty w siejbie i dojrzały w żniwie —
ruch nasz pulsuje nad chlebnym kobiercem,
jak niezniszczalnie, nieśmiertelnie żywe,
ludzkiego życia wielkie, Boże serce.

CZARODZIEJ WIEDNIA

Nagle otwarły się podwoje lustrzanej sali zamku Schönbrun, — rozmowy ucichły — wojskowi, dygnitarze, dworzanie i służba, wyprężyli się w postawach. Wszedł energicznym krokiem Napoleon, który piękną, nad modrym Dunajem leżącą stolicę pokonanej Austrii, wybrał sobie za główną kwaterę.

Wszyscy obecni trwali w napięciu oczekiwania i ciekawości, ponieważ ów wielki wódz, uchodzący dotąd za niezwyciężonego ma zamiar dziś zmierzyć się z człowiekiem-maszyną.

— Czy to on nazywa się Mälzel? — zwraca się Napoleon do 40-letniego, skromnie ubranego człowieka stojącego nieśmiało obok dziwnej skrzynki, za którą siedziała sztucznie skonstruowana lalka — w postaci Turka palącego spokojnie długą fajkę.

— Do usług waszej wysokości — Jan Niepomucen Mälzel.

— Czy to jest ten sławny automat szachowy, który pobił króla pruskiego Fryderyka Wielkiego?

— Tak jest, wasza wysokość! Fryderyk Wielki przegrał partię z mym Turkiem, przegrał też cesarz Józef i cesarzowa Maria Teresa, którzy z nim również grali w szachy. Mój automat jest niezwyciężony. — Mówiąc to, otwarł Mälzel drzwi skrzynki, na wierzchu której była wmontowana szachownica. Oczom Napoleona ukazały się liczne kółka i dźwignie, walce i śrubki. Całe urządzenie można było przesuwać na kółkach. Jakieś działanie z zewnątrz np. przez podłogę było wykluczone.

— Jaka tajemnica kryje się w tym automacie? — zapytał Napoleon.

— Czy wasza wysokość zdradza tajemnice swych sukcesów? — odparł Mälzel

Napoleona zaskoczyła nieco taka odpowiedź.

— Zaczynajmy — oświadczył krótko. Mälzel zamknął szybko drzwi skrzynki i nakręcił przy pomocy klucza aparaturę. Gra się rozpoczęła. Automat jak zawsze miał pierwsze posunięcie. Powolnymi, automatycznymi ruchami przesunął jedną z figur. Po krótkim wahaniu wykonał ruch Napoleon. Wkrótce jednak wielki wódz stał się niespokojny. Z jaką pewnością siebie grał automat i jak wspaniałe były jego posunięcia. Coś niesamowitego, coś upiornego wprost kryło się w tym partnerze. Mälzel stał tymczasem z boku, nie patrzył na szachownicę, ale za to z widocznym napięciem miał wzrok utkwiony w małej skrzynce stojącej przed nim na stole, ale niczym nie połączonej z automatem. Upływały minuty. Napoleon i Turek — automat wykonywali ruch za ruchem. Naraz padł cichy, wyraźny, syczący szept z ust automatu: „Szach!" Napoleon obserwując bacznie, czy nie zauważy jakiego podstępu i starając się odgadnąć tajemnicę aparatu, był roztargniony, denerwował się i mylił, wykonał jakieś niezręczne posunięcie i usłyszał z ust automatu szept: „Szach-mat!" Cesarz był w złym humorze. Jakto? — nic na świecie nie mogło mu się oprzeć dotychczas a obecnie pokonał go człowiek-maszyna, martwy aparat.

— Zagrajmy rewanż!

— Jak wasza wysokość rozkaże — ukłonił się Mälzel.

Podszedł znów do automatu, nakręcił go przy wtórze silnego zgrzytu kół i wykonawszy ukłon przed cesarzem, stanął znów przed swą szkatułką. Teraz starał się Napoleon zmylić aparat nieprawidłowymi posunięciami. Turek jednak zaraz przejrzał grę i zaprotestował kiwając energicznie głową. Znów fałszywy ruch. Turek podniósł ostrzegawczo rękę. Gdy Napoleon nie zważając na to, wziął nielegalnie figurę przeciwnika, wtedy ręka Turka uderzyła tak gwałtownie o szachownicę, że figury znajdujące się na niej potoczyły się na ziemię. Korsykanin zerwał się z krzesła. Coś podobnego nie spotkało go dotychczas. On, przed którym ziemia drżała, który kierował losami ludzi jak pionkami na szachownicy, który generałów składał z urzędów i igrał koronami książęcymi, musiał teraz ze wstydem ustąpić przed maszyną. Zagniewany uderzył ręką w skrzynię i opuścił miejsce swej porażki. Nieruchome, martwe oczy Turka patrzyły na szachownicę. Na ustach Mälzla zjawił się lekki uśmiech.

Na czym polegała tajemnica automatu nie wiemy do dziś dnia. Najwięksi mechanicy łamali sobie nad nią głowy. Żadnemu jednak nie udało się skonstruować podobnej maszyny. Wspomniany automat szachowy spłonął w czasie pożaru w Filadelfii.

Mälzel był utalentowanym muzykiem i zdolnym wynalazcą-mechanikiem. Największą przyjemność znajdował w zadziwianiu ludzi swymi wynalazkami i sztuczkami. Do najsławiejszych jego lalek-automatów należał sztuczny trębacz. Figura ta w mundurze kirasjera, stojąc na balkonie w Schönbrunie wygrywała najrozmaitsze wojenne marsze i żołnierskie pieśni, przed zdumioną publicznością wiedeńską. Tak bardzo podobał się ten automat cesarzowi Franciszkowi, że nadał Mälzlowi tytuł nadwornego mechanika.

Bardzo często Beethoven odwiedzał pracownię Mälzla. Przy jednej ze ścian stało siedem figur naturalnej wielkości, które mogły odegrać wspaniały koncert na trąbach. Znajdowały się tam również maszyny mówiące, automatyczni tancerze na linie, mechaniczna ręka, która sama mogła pisać itp.

Na każdym kroku spotykały gościa zwiedzającego atelier Mälzla różne niespodzianki. Gdy usiadł na stołku mogło się zdarzyć, że ten wraz z nim zapadł się pod podłogę. Gdy ktoś usiadł na kanapie, a przycisnął niechcący ukrytą w niej sprężynę usłyszał uwerturę z „Zaczarowanego fletu". Na stole w tej pracowni stał pstro odziany mnich, który srebrnym dzwoneczkiem wydzwaniał na prośbę lata pytającego lub ilość przeżytych miłostek. Panie zwiedzające pracownię Mälzla niejednokrotnie wielkiego „najadły się" strachu, gdy po otwarciu wieczka cukierniczki wyskoczyła ze środka sztuczna myszka i zaczęła biegać po podłodze.

— Dziś przeżyje Wiedeń nielada sensację — powiedział Mälzel do Beethovena pewnego marcowego poranku 1810 roku. Było to w tym czasie, kiedy Napoleon starał się o rękę księżniczki austriackiej Marii Luizy.

— I choć narzeczony siedzi w Paryżu, a Maria Luiza mieszka w Schönbrunie, ukażą się dziś oboje oczom publiczności wiedeńskiej — mówił w dalszym ciągu Mälzel.

— Jesteś prawdziwym szatanem — odparł na to Beethoven. — Już swoim aparatem szachowym nabrałeś Korsykanina, ale jak ci się ta sztuka uda?

— Zobaczysz — odpowiedział z tajemniczym uśmiechem Mälzel — zaprosiłem parę narzeczonych na dziś wieczór do mojej pracowni.

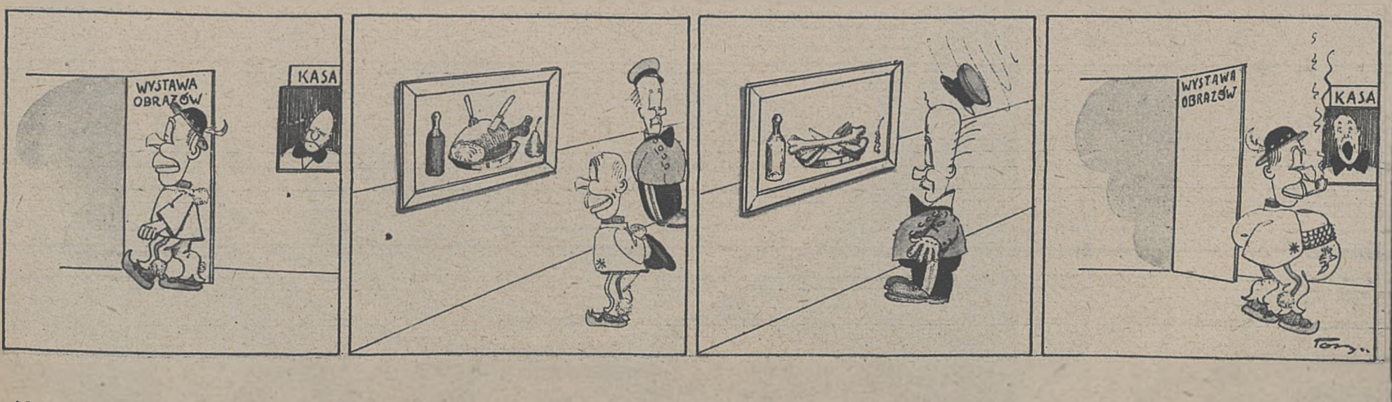
Wieczorem tego dnia cały Wiedeń obchodził uroczyście zaręczyny młodej pary. Miasto było iluminowane. Przed domem Mälzla cisnął się tłum i wiwatował. Wyczarowana przez zwierciadła zjawiła się w ciemnej niszy okiennej cesarska para narzeczonych, kłaniała się, kiwając łaskawie głowami zgromadzonemu tłumowi i cofała się znów do pokoju. Zbiegowisko było tak wielkie, że policja musiała się w to wdać i zaczęła tłum rozpędzać. Ale tłum nie chciał ustąpić, krzyczał i klaskał w dłonie całkiem tak, jak aktorom po udanej scenie w teatrze i wciąż domagał się na nowo pokazania cieni. Policjanci wtargnęli do domu Mälzla i zajęli stanowczo, czarownikowi Wiednia jego zabaw ze zwierciadłami.

Coraz to nowe pomysły kiełkowały w głowie nadwornego mechanika. Urządził on np. optyczno-mechaniczną ilustrację do oratorium Haydna „Pory roku". Cała sala, w której odbywał się koncert była wyposażona we wspaniałe krajobrazy i pstre kulisy i zmieniała się cztery razy

Dokończenie na stronie 10-tej.

SZCZYT IMAGINACJI

Rys. i tekst: Pawl.



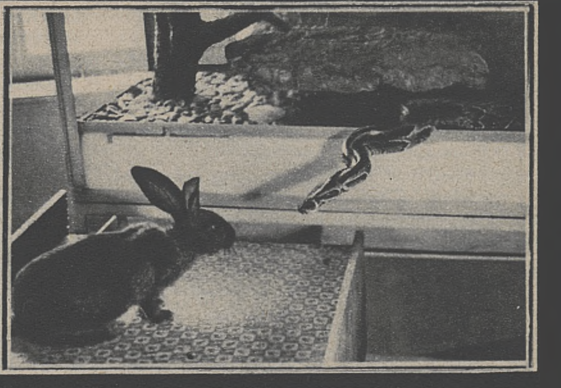
Na wystawę Mołek spieszy
I choć głodny — bilet chwyta,
Kiszki warczą — on się cieszy,
Będzie wrażeń miał... do syta.

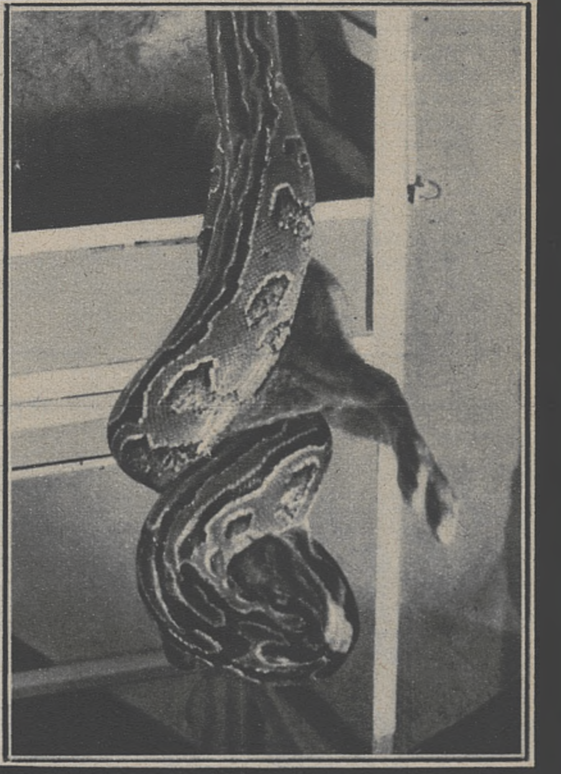
Szynka pięknie malowana,
— Flaszka z wódką stoi bokiem —
Mołka myśl uradowana,
Żre i pije głodnym okiem.

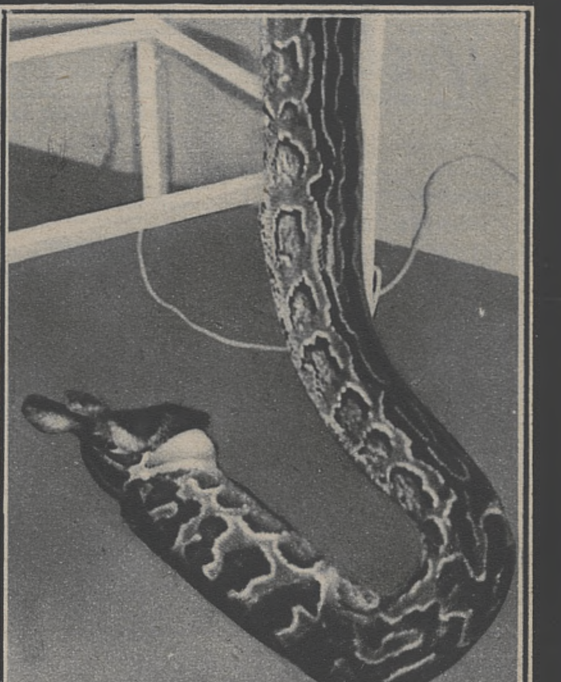
Strażnik Knotek stał zdziwiony —
Nie mógł pojąć w swojej jaźni
I nadziwić się potędze,
Tej Mołkowej wyobraźni.

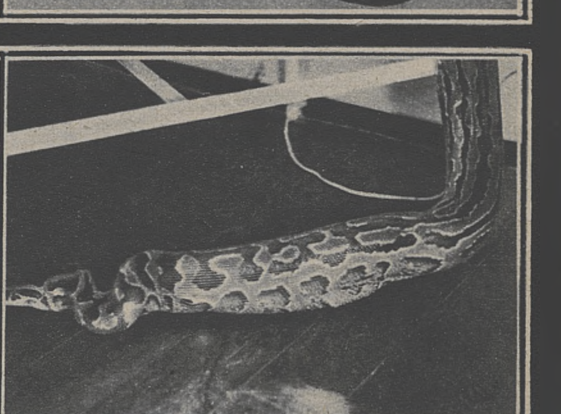
Mołek chwat — nie byle kołek —
Syt kolorów i plastyki,
Na przód wypiął swój tobołek,
A w nim... wrażeń smakołyki.

NIEBEZPIECZNY PRZYJACIEL









Nie jest niczym nadzwyczajnym, że ludzie szukają przyjaciół wśród zwierząt i że tych swoich przyjaciół chowają w domu. Psy, koty, kanarki, papugi, białe myszki, jeże a nawet morskie świnki miały dotąd swój kącik w sercu człowieka. Żeby jednak ktoś oprócz zaklinaczy był za „pan brat" z okularnikiem lub wielkim pytonem, o tym jeszcze nikt nie słyszał. A jednak w jednym z miast południowych Niemiec żyje człowiek, który w swym domu trzyma 2.70 m długiego węża-pytona. Wąż ma swoje oddzielne terrarium, w którym spędza życie zjadając jednego królika po drugim. Centymetr za centymetrem posuwa się taki wąż w stronę obezwładnionego z przerażenia królika (u góry), żeby za chwilę zdusić swą ofiarę (poniżej) i zacząć ją połykać. Po 25 minutach już prawie nie widać królika (drugie zdjęcie od dołu), a dokładnie po 30 minutach znikł on zupełnie i jedynie zgrubienie na cielsku węża (u dołu) wskazuje, że został on połknięty. Trochę dziwny jest sentyment właściciela tego węża, nie bez pożytku jednak dla przyrodników, którzy w badaniach swoich mogą polegać bez zastrzeżeń na jego obserwacjach.

Fot. Archiw.

Dokończenie ze strony 9-tej

w ciągu przedstawienia. Zależnie od pory roku, jaką przedstawiano, świeciły naprzemian księżyc i słońce, słychać było szum deszczu, przechodziła burza z piorunami i grzmotami, migały błyskawice, a podczas zimy padał wolno śnieg i widoczna w perspektywie lawina zasypywała chatę w Alpach.

Do bardzo głośnych wynalazków Mälzla należał tak zwany „panharmonikon", instrument wprawiany w ruch przy pomocy miechów i walców. Zawierał on w sobie całą mechaniczną orkiestrę wojskową. Olbrzymia skrzynia, w której mieściła się ta aparatura, była pomalowana na biało i ozdobiona złotymi ornamentami i zaopatrzona w błękitne i czerwone draperie. Mälzel wpadł na bardzo szczęśliwy pomysł połączenia imienia Beethovena ze swym panharmonikonem. Prosił on Beethovena o skomponowanie dzieła odpowiedniego dla jego panharmonikonu. Beethoven zgodził się. Gdy w styczniu roku 1813 dotarła do Wiednia wiadomość o zwycięstwie Wellingtona nad wojskami francuskimi w Hiszpanii, poprosił Mälzel Beethovena, by uwiecznił tę bitwę w nowej kompozycji muzycznej i kompozytor napisał jak się sam wyraził „żart muzyczny", wspaniałą symfonię wojenną: „Zwycięstwo Wellingtona pod Vittorią". Kompozycję tę odegrał Mälzel przed przeróbką jej na panharmonikon z towarzyszeniem orkiestry i sztucznego trębacza na jednym z koncertów, którego dochód przeznaczony był na rzecz inwalidów wojennych. Czego nie dokazały najgłębsze utwory kompozytora, dokonał tego ów wojenny żart, który dziś już jest całkowicie zapomniany. Beethoven stał się bohaterem dnia, najbardziej czczonym i najbardziej poważanym muzykiem.

Beethoven miał nie tylko ów sukces do zawdzięczenia Mälzlowi. Mälzel skonstruował dla coraz bardziej tracącego słuch kompozytora cztery trąbki ułatwiające mu słyszenie. Z pomocą ich Beethoven jeszcze kilka lat mógł słyszeć dźwięki. Na zawsze jednak zostanie złączone imię Mälzla z wynalazkiem metronomu. Skonstruowany przez niego metronom był pewnego rodzaju zegarem wahadłowym, który przy pomocy przesuwalnego ciężarka ołowianego poruszał się szybciej lub wolniej. Wielką zasługę położył Mälzel przez skonstruowanie sztucznych rąk i nóg. Zdobył on dzięki nim dużą wdzięczność wielu kalek, którzy po wojnach napoleońskich powrócili do domu.

Stronienie od kobiet — uważał Mälzel, za gwarancję rozwoju swych zdolności.

Ze swą maszyną grającą i innymi wynalazkami objeżdżał Mälzel cały świat. Był w Paryżu, Londynie, Ameryce i zyskał sobie olbrzymi majątek, ale szybko go przepuścił. Swój panharmonikon sprzedał w Bostonie za 400 000 dolarów.

— — — — — — — — — —

Pewnego dnia w roku 1838 znaleziono Mälzla martwego, na pokładzie żaglowca.

MOJA MODLITWA

Metafraza

Stworzyłeś dla mnie Boże,
Przyjaciół ante omnia,
Żeby mi dobrze robili,
A ja żebym... zapomniał...
Dały mi, Boże, przyjaciół
Twe ręce najłaskawsze,
Bym — jak raz źle mi zrobią —
Pamiętał to im... zawsze...

E. Kol.

ROZMAITOŚCI

W Ameryce można wybrać sobie jakiekolwiek słowo na imię dla dziecka. Dlatego też pewien Amerykanin nazwał swego 7-mego już z rzędu syna „Finis" (koniec) gdyż to miało być ostatnie jego dziecko. Nazwa jednak okazała się niezbyt trafną, gdyż nadszedł zień, w którym rodzina tego Amerykanina powiększyła się znów o jedno dziecko. Ojciec jednak ani trochę nie zawahał się przed wyborem imienia dla noworodka. Kazał on nazwać dziecko „Supplement" (dodatek) i ten właśnie Supplement Quorthington jest dziś sławnym adwokatem w Manili.

*

Jeżeli weźmiemy pod uwagę wszystkie kraje ziemi, okaże się, że przez 10 miesięcy w roku są żniwa. W styczniu zbiera się plony w Australii, Nowej Zelandii, Chile, i w niektórych okolicach Argentyny; w lutym i marcu w Indiach Wschodnich.

Meksyk, Egipt, Persja, Syria urządzają żniwa w kwietniu; Chiny, Japonia, Tunis, Algier, Maroko i Teksas w maju. W czerwcu odbywają się żniwa w południowej Francji, Kalifornii, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech, Grecji i Sycylii; w lipcu w Austrii, południowej Rosji i południowych stanach Ameryki Północnej.

Belgia, Dania, Niemcy, Holandia i Polska zbierają plony w sierpniu; we wrześniu Szkocja, Szwecja, Norwegia, duża część Kanady i Rosja.

W październiku wreszcie odbywają się żniwa w północnej Rosji i Finlandii.

*

W niektórych okolicach Indii panuje zwyczaj kupowania sobie mężów. Kobieta chcąca wyjść za mąż musi zapłacić swemu wybranemu większą lub mniejszą kwotę pieniężną, by uzyskać jego zgodę na małżeństwo. Cena waha się na ogół od 500 do 2000 rupii. Przy odpowiednio wysokim stanowisku męża, wzrasta cena za niego odpowiednio wysoko. Tytuły naukowe uzyskane w Europie są w wielkiej cenie. Na przykład za nabycie męża z tytułem profesora trzeba zapłacić przynajmniej 10.000 rupii.

*

Raz utonął, wypadłszy z łódki do rzeki, burmistrz małego miasteczka leżącego nad Popradem. Mimo starannych poszukiwań, nie można było odnaleźć jego zwłok. Ponieważ zmarły był ogólnie lubiany i szanowany przez swych współobywateli, uchwalił magistrat miasteczka na nadzwyczajnym posiedzeniu, bez względu na koszty, zamieścić następujące ogłoszenie we wszystkich gazetach. Podajemy go w dosłownym brzmieniu: „Prosi się władze i ludność zamieszkującą okolice położone nad Popradem zwracać uwagę dokładną na trupy pływające po tej rzece, gdyż wśród nich znajduje się również nasz czcigodny burmistrz. Był on ubrany w szary płaszcz, brązowe trzewiki i czarne ubranie. Znaki szczególne: posiada bliznę na lewym policzku i jąka się".

W połowie XVIII stulecia przywieziono z Kuby do Paryża wielkie chrabąszcze świecące fosforycznym światłem podobnie jak nasze robaczki świętojańskie. Gdy owady te wypuszczono na wolność, a one latając po ulicach Paryża rozsiewały wieczorem swe silne, zielonkawe światło; — powstała panika wśród Paryżan, gdyż ludzie uważali to zjawisko, którego nie umieli sobie wytłumaczyć, za jakiś znak nadprzyrodzony.

*

Odkąd ustalono, że wole kur z okolic Murzo w Columbii są wypełnione małymi szmaragdami musi każdy, kto chce spożyć kurę, urżnąć, lub ukręcić jej głowę w obecności urzędnika państwowego. Urzędnik ten rozcina wół ptaka i zabiera w imieniu państwa szmaragdy znajdujące się w nim. Również i drogi prowadzące do Murzo są strzeżone przez policję, która stara się przeszkodzić szmuglowi drobiu. Ludzie obcy i cudzoziemcy mogą te okolice zwiedzać tylko w towarzystwie urzędników.

*

W roku 1834 niejaki profesor Bengel przedłożył do cenzury manuskrypt z prośbą o pozwolenie drukowania swej pracy. Chodziło tu o jego przepowiednię, że w roku 1836 będzie koniec świata. Profesor Bengel był o tym sam najmocniej przekonany i wykazał to wyczerpująco i przekonywująco w swej broszurze. Po kilku miesiącach otrzymał profesor swój manuskrypt z powrotem z następującym listem: „Pozwalamy na wydrukowanie Pańskiego manuskryptu. Tylko zastrzegamy sobie datę ukazania się tego druku. Wolno Panu wydrukować ten manuskrypt nie wcześniej niż w roku 1837".

*

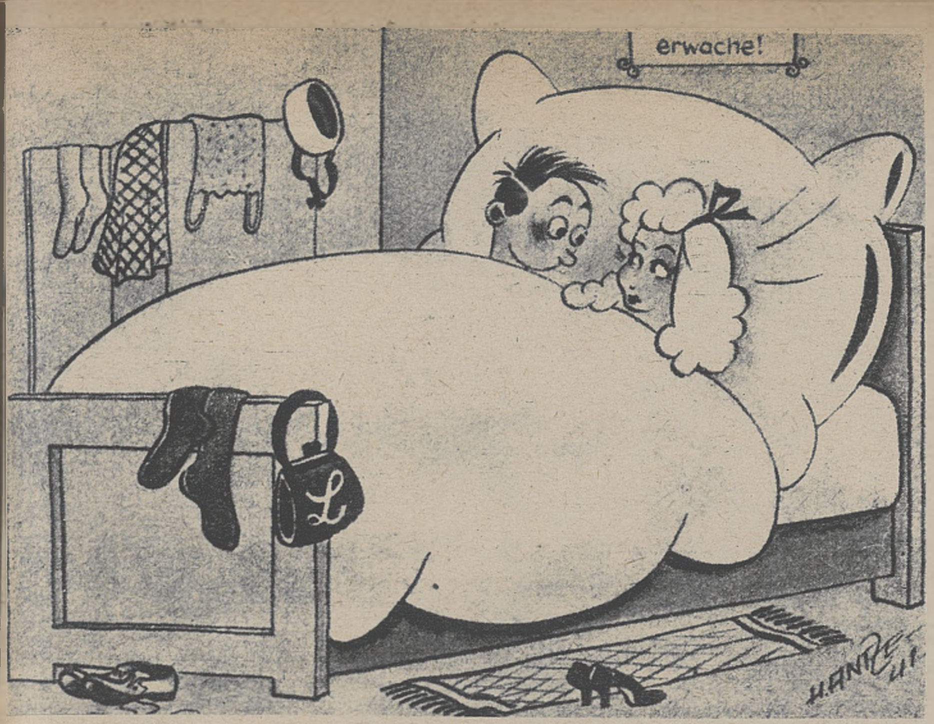
Carlo Broschi Farinelli, śpiewak rodem z Neapolu (1705—1782) posiadał najwspanialszy tenor, jaki kiedykolwiek istniał na świecie. Jako mały chłopiec śpiewał on już w chórach kościelnych swej ojczyzny. Po wielu sukcesach przybył w roku 1734 do Hiszpanii na dwór króla Filipa V, który cierpiał wówczas na melancholię. Farinelli musiał śpiewać mu co noc przez 10 lat z rzędu wciąż te same cztery pieśni, które dziwnie kojąco działały na króla. Niezwykły ten śpiewak potrafił śpiewać o 7 lub 8 tonów wyżej niż każdy inny mężczyzna obdarzony przeciętnym głosem tenora, a mimo to głos jego był czysty, dźwięczny i równy. Farinelli mógł ciągnąć jeden ton przez 6 minut.

*

W XIII-tym stuleciu nie było zwyczaju dawania kwiatów narzeczonej. Prezenty miłosne były wtedy natury całkiem praktycznej. Narzeczony przynosił np. swej uwielbianej deskę do maglowania bielizny, kołowrotek lub kilka łyżek, lub jakiś inny praktyczny przedmiot. Strona poetyczna była zaspokojona przez jakąś stosownie dobraną sentencję, najczęściej ułożoną przez ofiarodawcę prezentu.

*

W Budapeszcie sprawuje urząd egzekutora sądowego człowiek mający 80 cm wzrostu. Ten urzędnik liliput odznacza się podobno dużą energią.



Kiedyż nareszcie będzie mi wolno mówić do pani przez „ty“, panno Wandziu?

(Das Illustrierte Blatt)

ŚWIAT SIĘ ŚMIEJE

— Henryku, powiedz mi otwarcie czy naprawdę jestem brzydką?
— Ależ skądże moja kochana, to tylko tak wygląda.

*

— Wujaszku, ale na tym czeku, który mi wujaszek dał nie ma podpisu.
— Bo widzisz mój chłopcze, ja wszelkie darowizny uskuteczniam anonimowo.

— Zjadłbyś mały kawałeczek tortu Karolku?
— Nie, ciociu?
— A co zjadłbyś?
— Duży kawałek.

*

— Ciekawa jestem kiedy na tobie wyrośnie pierze?
— Jakto?
— Bo gęsią skórę już masz.

*





„Alarm powietrzny“

(Kölnische Illustrierte Zeitung)

Mały Piotruś obserwuje ojca, który szuka czegoś po pokoju. W końcu zapytuje swojej siostry:
— Nie wiesz Ninko, czego ojciec właściwie szuka?
— Swojej laski.
— Z pewnością chce wyjść na spacer, albo widział już moje świadectwo.

*

— Jak długo Adam i Ewa zostali w raju?
— Do jesieni.
— Jakto?
— No przecież wcześniej jabłka nie były dojrzałe.

*



Przez dwa miesiące ryłem ten podkop, ale teraz mogę się przynajmniej przekonać, czy ziemniaki już wypuściły bulwy.

(Koralle)

— Posiedzenie już się rozpoczęło, panie Rybka, niech pan wejdzie po cichu.
— A to dlaczego, czy wszyscy już zasnęli?

*

— Dlaczego nic nie mówisz Marianie i jesteś tak bardzo zamyślony?
— Muszę myśleć, i to porządnie myśleć. Gdyż nie mogę sobie przypomnieć jak powiedziała mi moja Karolcia, — czy mogę wypić jedną szklankę piwa i przyjść o jedenastej do domu, czy wypić 11 szklanek i przyjść o 1-szej?

*

— Cóż to za sposób Kundziu patrzeć przez dziurkę od klucza do pokoju, gdzie jest moja córka z narzeczonym?
— Ja chciałam tylko zobaczyć, czy muszę najpierw zapukać.

*

— Panie Jacykowski, dlaczego pan chce swoją wannę sprzedać?
— Dlaczego nie miałbym tego zrobić, przecież dzieci mam już dorosłe.

— A ile u pana kosztuje sztuczna szczęka? — pyta pacjent dentysty.
— Dwieście do trzystu złotych. Ale za to będzie pan mógł wspaniale jeść.
— No tak, ale... za co panie doktorze, gdy tyle zapłacę za szczękę.

*

— A teraz niech Kasia wytrze kurze.
— A gdzie jest ta kura proszę pani?

*

Lekarz: — A jak pan sypia?
Pacjent: — Na lewym boku.

*

Profesor: — Proszę mi powiedzieć, bez czego żaden most się nie obejdzie?
Uczeń: — Bez dziury panie profesorze.

*

— Wie pan, że ten śledź wcale mi się nie podoba! — krytykuje kupująca.
— Jeżeli pani szuka piękności to niech pani kupi złotą rybkę.

*

— Jasiu, zawsze ci mówię, myj ręce jak idziesz do szkoły!
— Ależ mamusiu to jest całkiem niepotrzebne! Ja nie należę do tych, co wciąż ręce podnoszą.

— Panie gospodarzu, pan musi mieć niezwykle czystą kucharkę?
— Naturalnie, a z czego pan to wnioskuje?
— Bo wszystkie potrawy czuć mydłem.

*

— Co ci się stało Karolku? Dlaczego płaczesz?
— Siadła mi mucha na palcu, a Franek zabił ją młotkiem.

*

— Mam sześciu synów. Najstarszy jest docentem uniwersyteckim, drugi adwokatem, trzeci aktorem, czwarty malarzem, piąty muzykiem, a najmłodszy bokserem.
— I ten najmłodszy musi pewno wszystkich utrzymywać.

*

Na premierze jednej ze sztuk Shawa, któryś z rozentuzjazmowanych widzów na galerii upuścił na dół paczkę, w której znajdowały się kupione na kolację kiełbaski. Pakiecik upadł dziwnym trafem na głowę autora.
Shaw oburzony podniósł głowę ku galerii i zawołał:
— Pan się mylił przyjacielu! Jestem jaroszem i kiełbasek nie jadam. Na następny raz niech mi pan rzuci swoją kapuścianą głowę.

ROZRYWKI UMYSŁOWE

Czy to możliwe?

Pospieszcie się! — zawołał właściciel wozu ciężarowego do swych synów. — Słońce już zachodzi, zanim zajdzie, musimy być w domu! — Synowie przyłączyli przyczepkę do auta ciężarowego, wsiedli do niego wraz z ojcem i pojechali. Po jakimś czasie droga stała się bardzo wyboista, auto co chwila podskakiwało po nierównościach gruntu i ojciec zaczął się niepokoić, czy przyczepiony wóz znajduje się jeszcze na swoim miejscu. Jeden z synów, który siedział przy drzwiach pochylił się nieco ku oknu i spojrzał przez ramię do tyłu. — Jest jeszcze — powiedział do ojca. Ojciec jednak nie wierzył, żeby syn mógł dojrzeć wóz przyczepiony z tyłu do auta ciężarowego, gdyż wóz ten był znacznie mniejszy od auta ciężarowego, a syn ani się nie wychylił przez okno, ani nie otwarł drzwi.

W jaki sposób chłopiec mógł jednak z całą pewnością stwierdzić, że przyczepka znajdowała się przy aucie?

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z NR. 30

Kwadraty uzupełniające się

I kwadrat: 1. karo, 2. kilo, 3. sala, 4. para.
II kwadrat: 1. lina, 2. metr, 3. mina, 4. graf.
I i II razem: 1. Karolina, 2. kilometr, 3. Salamina, 4. paragraf,

Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 213-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 135-60 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900

UWAGA! FOTOAMATORZY!



„GRUBA RYBA W SIECI!“
Temat bardzo dobry i pięknie skomponowana grupka. Wykonał p. Staniszewski Zdzisław z Warszawy. Ap. Leica Standart Remar, czas 1/60 sek., przysłona 11, przy lekkim zachmurzeniu.



„ŻNIWIARKA“
Temat dobry i aktualny. Podejście jednak nieprzemyślane a tło chaotyczne. Należało podkreślić, że istotniejszą rzeczą dla tematu zdjęcia jest żniwiarka niż konie. Wykonał p. St. Zawiszewski z Radomska. Ap. Agfa Billy Compur, czas 1/100 sek., przysłona 6.



WOJCIECH KOSSAK „COW-BOYE" — JEDNO Z DZIEŁ MISTRZA, ZGASŁEGO DNIA 29 LIPCA B. R. W KRAKOWIE, W 87 ROKU ŻYCIA. Z JEGO ŚMIERCIĄ SZTUKA POLSKA TRACI JEDNEGO Z NAJWYBITNIEJSZYCH REPREZENTANTÓW I NA MIARĘ ŚWIATOWĄ ARTYSTĘ.